ROZMAITOŚCI.

Dnia 5. Września. № 36. Roku 1855.

MYNHEER VAN DELFT.

Proszę szukać amazonki, jaką była Greta van Delft. Że ją panny nie chwaliły i dworactwo się krzywiło — mój Boże! nie jéj to wina, że u tych odwaga zaskrzepła, u tamtych panieństwo się rozniemogło. Za to, w kim drzało tętno odwagi, a i do tego był młody, temu i drzało serce za skórą patrząc na tę hożą piękność, a przytém najbogatszą pannę na całą Holandyę. Cóż tu było przyganiać dziewczynie z taką cnotą a jeszcze ośmnastoletniéj!

Mnie tam nie było, ale tu z mego zakąta powtarzam, że panna van Delft nie grzeszyła iż jeździła na koniu; szpicrut co milionami trzęsie nie bardzo boli. Pomawiali ją o pustotę; — szczera zazdrość! wszak pustota żywioł świata; prawda nie wolno jéj mieć żebrakom, nie wolno chudopachołkom, nie wolno tym co bardzo na górze, i tym co nizko na dole także nie wolno; ale wy byście chcieli, ażeby po milionach młody nogami suwał jak stary? kupy złota nie roztrącał, tylko przyplaskiwał jak torbiarz jarmarczny? To by u was było rozsądkiem. Szczęściem że u bogaczów inszy rozum, i gdyby nie to, nie byłoby opatrzności na ziemi, bo jeźli kiedy co na biedaka kapło, zawsze to było z ręki bogatszéj. Otóż pannie van Delft pozwalam pustoty i przebaczam grymasy i za chymery się nie gniewam.

Historya o niéj pisze: Popatrzcie jak dosiadła konia. Koń wié kogo niesie, tańczy pod nią, wiatry ściga, rowy suwa aż się chłopstwo żegna, nie osiedzi się zając przed nią, nie umknie sarna, ani łoś — (tylko że łosiów w Holandyi niema) — ale dosyć, jeździec i myśliwy był z niéj doskonały.

Mynheer van Delft, marynarz stary, uśmiechał się tylko gdy mu prawiono, na jakie przygody wystawia się jego jedynaczka. Co u niego znaczył kiernos, albo co rów, co fosa? Jego nie pożarły ani lwy ni tygrysy chociaż straszniejsze bestye, wieloryby uciekały przed nim; wielka rzecz rów i fosa! wszak on mało sto razy przesadził ocean do Ameryki, do Australii, do Japonii, a ścierał się nie z jednym wilkołakiem na morzu. Więc takich rzeczy słuchał i nie słuchał i spokojnie smuszył holandzką gliniankę.

Ale, Mynheer! dodała stara ochmistrzyni, i ja bym nic nie mówiła, ale bo to o rzecz chodzi! Wszak trzeba Grecie

pójść za mąż, a trzpiota kto w dom wprowadzi? Osiędzie na koszu, jak mi Bóg miły; lata płyną, ani się opatrzyć jak twarz zbabieje. Zamknijcie wtedy zamek, zwiedźcie mosty, i zróbcie klasztor. Już się teraz odstręczyło, co tylko było z młodzieży; jeszcze żeby nie Mynheer van Zeyl, nie widzielibyśmy i żywéj duszy. Ale i pan van Zeyl powiedział mi wczoraj: już ja waszéj panny mam póty, tak — tak, po szyję pokazał, i jeźli się nie ustatkuje, radzę niech się wpisze do Wallonów albo gwardyi lotaryńskiéj.

Mynheer van Delft zachmurzył się i okłębił głowę dymem.

Prawda! mruknął, wszak co dziewczę to nie majtek... ukrócę ja téj rozpusty. — Héj! prosić panny.

Weszła Greta; ojciec spojżrzał i na widok jedynaczki rozjaśniła się twarz staremu. Gdyby nie ochmistrzyni, kto wié, co by się było stało; ale jéj obecność dodała przytomności myślom, więc Mynheer van Delft mówi do córki surowo: Od téj chwili jesteś narzeczoną.

Greta jakby z nieba spadła, nie ze strachu, tylko że tu była jakaś tajemnica widać. Po chwili dopiéro nabrała serca, i mówi:

Narzeczoną? a czyją Mynheer? i westchnęła przytém.

Czyjąbądź; ale to rozumiesz że z godnością narzeczonéj już nie uchodzi latać na koniu i borykać się z niedźwiedziami.

Ale także nie uchodzi powściągać się dla urojenia, dla mary jakiejś, przymówiła się Greta, rzecz powinna być oczewista, powinnabym przecie wiedziéć, kto ten szczęśliwiec, co ma być panem méj ręki.

Kiedy chcesz koniecznie, odpowiedział van Delft, Mynheer van Zeyl jest nim — i na tém koniec.

Ja za tchórza nie pójdę, rzuciła się Greta z gniewem, mój ojciec sam piérwszy między bohatyrami Holandyi nie zechce tego.

Bohatyrstwo skończyło się, mamy pokój! każdy między nami jest jeden jak drugi dzisiaj, dorzucił van Delft.

O co to wcale nic! Ja sama godzę na dzika śmiało, a Mynheer van Zeyl postrzelił onegdaj zająca, chciał go zabrać, wdział wprzódy rękawiczkę i zapytał się, czy zające kąsają.

Mynheer van Delft w śmiech; może on się jeszcze zapyta czy ryby krzyczą! — lecz po chwili gdy ochłonął, mówi stary: ręczę ci, że van Zeyl nie tchórz.

A można go wziąć na próbę?

Zgoda, weźmiemy.

A jeźli się na dzika nie rzuci?

Wtedy kwita, nie pójdziesz za niego, rozumie się.

Na to zbliżyła się ochmistrzyni, i patrząc ostro, mówi:

A jakiegoż-to Nemroda upatrzyło serce panny Grety, kiedy van Zeyla nie chce?

Gretę jak oblał, tak się zarumieniła.

Wiem ja, kto to się święci, plecie ochmistrzyni daléj, panience przypadł do oka Aleksy, syn po rotmistrzu Tallekens, co i żyć niema z czego.

Greta na migi jak mogła, groziła staréj, ale stara:

Ja milczéć nie będę; Aleksy bezwstydnik śmiał powiedziéć: dobra z ciebie zwierzyna była przed siedmdziesiąt laty...

A Mynheer van Delftowi wypogodziło się czoło na to jak słońce.

Ba! widzę wam wszystkim pusto w głowie, rzecze ochmistrzyni, pójdzie-to pójdzie, zostawmy tylko Gretę z Aleksym.

Holender znowu zponurzał, zadymił aż się ciemno zrobiło, i kiwnął ręką, ażeby ochmistrzyni odeszła.

Cóż-to znowu za bajki? wrzasnął stary, tyż byś się mimo méj wiedzy ważyła... i zamilkł.

Ach ja nic nie ważyła, odjąkła Greta.

Zakochałaś się.

Dziewczę milczy.

Zakochałaś w ladaco, w żebraku! czy tobie *„mal in hoefd?“* oszalałaś? — Słuchaj! van Zeyl dziś jeszcze staje do próby; — zakole dzika, bądź pewna, do tygodnia idziesz za niego; a nie zakole, i jeźli stchórzy, to mi ruszasz do ciotki w Antwerpii w klasztorze, i czekasz aż ci innego zucha dobiorę.

Jeszcze dnia nie upłynęło, stawił się van Zeyl proszony. Zdziwił go nie pomału rozkaz starego, bohatyrstwem wywieść się ze zdatności małżeńskiéj.

Greta zadrzała, patrząc jak śmiało wsiadał blady van Zeyl na konia, i włócznię myśliwską w strzemię zatykał. Siadł i Mynheer van Delft także na Fryza, ażeby naocznym być świadkiem waleczności domniemanego zięcia, bo w tym punkcie jakoś nie dowierzał córce.

Byleś nie spadł kochany ojcze! zawołała strwożona Greta, widząc że ojciec trzyma uzdę jak rudel.

Co mi tam gadasz! słuchał mię statek o sile stu i nie wiem wiele koni, a miałbym nie dać rady szkapie o sile jednego?

Ale pokazało się, że co szkapa to nie korweta. Greta wypuściła swemu koniowi cugle, van Zeyl w trop za nią, trzymał się ostro, ale Mynheer van Delft męczył koniska i wykręcał cugle na lewo, na prawo, chodziło mu, jak mówił, ażeby nie podeptać ogarów, co się popod nogi plątały.

Dostali się wreszcie pod knieję; puszczono ogary, nie trwało jak wypić szklankę porteru, idzie dzika świnia z prosiętami. Van Zeyl zerwał się z dzidą.

Stój pan! stój, to locha; zawołała Greta, pan na odyńca proszonyś, i to boso, nie z konia!

Van Zeyl oglądnął się: ale któż mi konia potrzyma, mówił zsiadając.

Już ja go sama potrzymam, stawaj pan.

W tém wykrzyknął Mynheer van Delft, podnosząc bizun do góry: Co to? i Waszeć tu mój panie! poczekaj mamy z sobą pomówić.

A ściągało się to do jakiegoś myśliwego, co stał spokojnie pod drzewem oparty, a ogary leżały przy nim. Smukły, przystojny chłopak, oko jakby admirał patrzało dumnie, a usta się miliły do Grety; znały się niezawodnie, a Mynheer van Delft dobrze wiedział, że to Aleksy Tallekens; chciał więc coś zacząć, ale go Aleksy uprzedził:

Radzę niech Mynheer zsiądzie, bo nie dosiedzi.

Radź takim, jak ty zawłoko! krzyknął van Delft.

Zachciało się widzę Mynheer panu van Delft być niegrzecznym, mówi Aleksy; radziłbym miotać raczéj grubiaństwa na tego dzika, co słyszę jak sunie, ród jego wszystko przyjmuje...

A właśnie szeleściły w téj chwili szmery z jesiennego liścia, i coraz bliżéj i głośniéj jakby pod nogami dziesięciu chłopów, i z knici wypadł odyniec; wściekły i najeżony pędził na oślep prosto gdzie stał Mynheer van Delft; ani się opatrzył, jak podciął kłem Fryzowi nogi, i Mynheer van Delft padł z koniem; a że otyły, nie mógł i powstać.

Van Zeyl — van Zeyl, a bijże, zabij — zatopić w otchłań, van Zeyl! ratuj! pod wiatr dostałem w sedno!

Odyniec w zamachu przeciął i palony but van Delftowi, i zraził bolącą nogę po kolano. Greta przypadła ze strachem, van Zeyl opuścił włócznię i ręce i wołał:

Mynheer Aleksyus, na pomoc, na pomoc!

Aleksy wprawdzie jeszcze nie był na bojowisku, ale jego ogary już dopadły odyńca, zacięły zębiska w źwierza i wlokły się z nim może z piędziesiąt kroków. Odyniec borykał się, ryczał, kwiczał, machał się, wyrzucał...

Van Delfta podnieśli tymczasem, Greta z płaczem podtrzymywała; ale stary obtrzepał się z prochu, i mówi:

Daj-no już pokój, dziewczę, muszę bojowisko opatrzyć.

Ah Mynheer van Zeyl! zawołał van Delft coś nakształt admirała francuskiego kiedy z pod Trafalgary uciekały okręta: Dumanoir; Dumanoir, cóż ty zawinił?

Za to Aleksy nie próżnował, z kordelasem zabiegł przed dzika, zmierzył go okiem...

Ostrożnie, ostrożnie, mój chłopcze, wołał van Delft, — a to w nim kaduk! patrzcie-no!

Aleksy tylko mignął, i po odyńcu już było.

Odtąd Mynheer van Delft nabrał tyle serca do Aleksego, że z wdzięczności byłby mu córkę narzucił nawet. Bogu dzięki tego nie trzeba było. Ale co Mynheer van Zeyl nie pokazał i oka więcéj.

KOMEDYA.

DRAMAT

Apollona Korzeniowskiego.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dokończenie. Ob. Nr. 21. 22. 23. 24. 25. 26. 27. 28. 29. 30. 33. 34. 35. Rozmaitości.)

Sceny 3. (Koniec.)

Lidia.

Jeszcze nim być trzeba!
O! tylko małą chwilkę! Wytrącona z nieba
Najdroższych uczuć moich, a przez was, jedynie;
Gdy za me przywiązanie, znajduję w rodzinie
Nienawiść; gdy na serca mego szczere bicie,
Przez was mi tylko wstrętem odpowiada życie;
Gdyście mie potrącili w światy mi nieznane
Fałszów, brudów, oszczerstwa; gdy serce stro-
(skane
Cierpi, drzy i rozpacza; gdy dokoła widzi,
Albo to czém pogardza, lub to, czém się brzydzi;

Gdy na ból i na gorycz tym jękiem się skarzy:
Wy, z uśmiechem pogody w oku i na twarzy,
Chcąc światowością nie wiem kogo tutaj łudzić,

(do prezesa)

Pan, skargę zwie: uchybiać!

(do Basi)

Pani ją zwie: nudzić!
Żal więc mój i mą boleść ja w sobie zagrzebię!
Lecz nim dom ten opuszczę.....

Prezes.

Nie pojmuję ciebie!

Basia.

Będzie to ładny wyskok!

Lidia.

O! te wasze rady!
Dosyć ich mam, o! dosyć! Poniosę ich ślady
W zobojętniałém sercu na wszystkich, na wszyst-
(ko!
Niestety! Nadto długo, o! zanadto blizko
Przy was byłam; by wierzyć w godność moją
(własną!

(po chwili milczenia)

Tak! Nim dom ten opuszczę, myśl lepszą i jasną
Chcę unieść w sercu, w duszy; by mieć przeko-
(nanie
Że mam serce i duszę!

(do Henryka)

Gdy winy wyznanie,
Jeśli smutek głęboki, żal niewysłowiony,
Mogą zgładzić postępek oszczerstwem natchnio-
ny;
Gdy przebaczenia dobre i szlachetne słowo
Może zmyć plamę, i duszę rozjaśnić na nowo,
A serce wyrwać z cnoty straszliwéj rozpaczy;
Ja pana proszę, błagam: niech pan mi przebaczy!

Henryk.

Ja? Pani?

Lidia.

Czułam zawsze! Dziś czuję goręcéj,
Wiem: że panu przystało być szlachetnym więcéj
Im większa boleść moja! Przebaczenie pana,
Biédnemu sercu będzie to ręka podana,
Wróci mu wiarę w siebie, dźwignie z poniżenia!
Błagam pana! Zaklinam, na czyste wspomnienia
Niepobrukanych światem dawnych dni tak bło-
(gich;
Na świętość uczuć pana, dla mnie wiecznie dro-
(gich!
Żałującemu sercu, niech serce bez skazy
Przebaczy w obec świadków téj gorzkiéj obrazy,
Jednem słowem: przebaczam!

Basia *(z cicha).*

Aż wstydzę się za nią!
Szczególne poniżenie!

Henryk *(do Lidii).*

Klęczący, przed panią,
Winienem słów tych słuchać! Ich to lube brzmie-
(nie,
Widok pani, lub myśli jéj piękne wspomnienie,
Prowadziły me życie, przez nędzę i troski,
W kraj uczucia i natchnień, w kraj cudny, w kraj
(boski!
W mego serca tajniki, ile tylko razy
Spojźrzę: panią tam widzę jasną i bez skazy!
Jéj to promienie biją z duszy méj głębiny,
Rozjaśniają me słowa, me myśli, me czyny!
Więc tylko wdzięczność święta i wieczysta dla
(niéj!
Za cóż ja mam przebaczać? Lecz, ażeby pani
Nie myślała, że w sercu przez nią zachwyco-
(ném,
Mógł najlżejszy cień zostać; z czołem pochyloném
Mówię z duszy: przebaczam!

Basia *(z cicha).*

I pięknie! I mile!

Lidia *(do Henryka)*

O! dziękuję! A teraz!

(po chwili milczenia)

Tak, są w życiu chwile,
Gdzie wszystko nas z codziennych kolei wyrywa;
Gdzie światowych zwyczajów ogłada fałszywa
Milczéć musi przed serca i uczucia głosem:
Taką, obecna chwila; kiedy smutnym losem,
Blizcy mię, mię zdradzają; ja siebie nie zdradzę,
Słucham własnego serca, a Boga się radzę;
I wierzę, żem jest taką, a raczéj być żądam,
Jaką w cudownéj myśli pana ja wyglądam.
Niechże mię pan zachowa w sercu i natchnieniu,
W przeszłości i na przyszłość, w całém swém
(istnieniu;

A, by nic mną nie chwiało na tym szczęścia szczy-
(cie,
Daję panu me serce, mą duszę, me życie!
(Podaje Henrykowi rękę, którą on z rozrzewnieniem bierze i całuje).

Prezes.

To czyste oświadczenie; *to tego*, jak widzę....

Basia *(ze złością).*

A, to jest obrzydliwie! Ja słuchać się wstydzę!
(Wychodzi z gniewem.)

Scena 4.

Ciż sami oprócz Basi.

Henryk *(do Lidii).*

O! przyjmuję to niebo;
(opuszczając jéj rękę)
Lecz jako wspomnienie.

Lidia *(na stronie).*

O! Boże!..

Henryk.

Jak talizman, który życia cienie
Rozbłogosławi dla mnie urok czysty, święty.
Z nim idąc, pójdę śmiało w życia tego męty!
Samotny, jak sierota; biedny, odrzucony,
Jeszcze będę szczęśliwy, a wiecznie natchniony.
I dusza wierzyć będzie, gdyż już wierzyć może,
Że Bóg rzucił ją z nieba, na życia bezdroże,
Z celem wyższym, szlachetnym, bo patrząc do-
(koła,
Najpiękniejszego w pani ujźrzała anioła.
Może go czcić i wielbić, w tym jasnym zachwycie,
Co na świętość zamienia najnędzniejsze życie.
Kocham panią! od kiedy?... próżno pytam siebie:
Ma dusza ją kochała będąc jeszcze w niebie;
Tą miłością jest piękną, tą miłością świeci,
I na jéj skrzydłach kiedyś do nieba uleci;
Miłość moja to każde serca uderzenie;
Każdy czyn, każde słowo! Wiara, i natchnienie.
I zacność. O! ja zdawna w modłów uniesieniu,
Zawsze prosiłem Boga, by być w Jéj sumieniu
Wyżéj; o! wyżéj nawet niżli w sercu pani.
Niech modlitwa ma kłamstwem ust nie pozostanie.
Pani mi niebo daje! To serce rozdarte
Kona, lecz się wyrzeka: bo nie jest go warte:
Gdyż pani mię nie kocha, nigdy nie kochała!

Lidia.

Niech pan tego nie mówi!!

Henryk.

Tak pani mniemała;
Lecz oplątana w fałszów i wybiegów sidła,
W oszczercze, brudne, zwykłe światowe ma-
(midła,
Zaparłaś się uczucia. Ceniłaś mię pani,
Myśli me nie raz były, miłe, lube dla niéj,
Gdyż ich natchnieniem samaś tylko pani była;
Lecz nie kochałaś nigdy; kiedyś uwierzyła,
Że ten, który w jéj serca pragnął zostać niebie,
Mógł, dla zbawienia nawet, plamą skazić siebie!
Teraz, teraz, przyczyna jéj dobroci inna:
Szlachetna i litosna, jakąś być powinna
Widząc moje cierpienie, straszne, niesłychane;
Chcesz pani koić boleść i zagoić ranę.
Tak pani! Tyś aniołem, ale nie miłości:
Oddajesz mi swe życie przez nadmiar litości;
Uczucie ja przyjmuję. Lecz nie chcę ofiary;
Niech pani mię zrozumie!

Lidia.

Różne prawdy miary:
Pan jéj więcéj zapewne zdobył w swojém życiu.
Ja zaś mam miarę prawdy, w mego serca biciu.
Ono boleśne, tęskne, przeczy słowom pana.
Zwątpieniem zawiniłam, niewiarą skarana,
Cierpię; ale nie powiem, że niesłuszna kara;
W zamęcie téj boleści, zostaje mi wiara;
I tę wiarę przeszłości, składam w pana ręce:
Niech dziś będzie, jak żądasz.

Henryk *(na stronie).*

O milcz moje serce!

Lidia.

Ach! słowa me nie były litością raniącą;
Lecz mową serca, duszy, szczerą i gorącą.
Ja chcę pana przekonać; że przekonam, czuję;
Własne postanowienie pana boli, truje,
To widać. A więc prawda jest tylko w cierpieniu?
W dumném, chociaż z szlachetnych powodów,
(milczeniu?
Czyż czyn, który oddaje dwa serca boleści
Niezasłużonéj, gorzkiéj, prawdę w sobie mieści?
Mogłoż go natchnąć czucie i rzewne i święte,
Szlachetne? Niech pan powié?

Henryk *(na stronie)*.

Milcz serce przeklęte!

Lidia.

Pan milczy! Tak! Pojmuję! W téj zbudzonéj chwili,
Słowo, natchnione nawet, losu nie przesili.
Jego dźwięk często, często, ułudny fałszywy;
Krzyż pana z mojéj winy i pan nieszczęśliwy.
O! serce mi to mówi. A dla szczęścia pana,
Wszystko, wszystko uczynię! Tém czuciem
(owiana,
Czuję balsam kojący słodkich nadziej czarów,
I nie cofam słów moich, ani mych zamiarów
Nie wyrzeknę się nigdy! Czasowa rozłąka
Ni mego, ni pańskiego serca nie obłąka:
Moje, ze świętą stróżą drogiego imienia,
Czekać będzie cierpliwie, póki chmur tych cienia
Nie rozchwieją się w błękit.

Henryk.

Czyż nie czuje pani,
Że dobroć jéj mię boli, jéj słodycz mię rani?
Że to się równa śmierci, gdy powiedzieć trzeba:
Widzę ją, lecz niegodny jestem tego nieba;
Żegnam panią na zawsze! Pani, cudna droga:
Pogodna, czysta, jasna; idź nią w imię Boga!
A ja, w twe imię pani, choć cierpię niezmiernie,
Pójdę w pielgrzymkę życia, deptać ziemi ciernie;
Nie oglądaj się na mnie!

Lidia *(z uniesieniem)*.

Ja pana aniołem.
O! pan mi to powiedział; a ja, z dumném czołem,
Jako godło dni przyszłych, to imię przyjmuję;
Wierzę głosowi duszy. A dusza ma czuje,
Że ma droga uczucie; z zacną pańską drogą
Kiedyś u wspólnych kresów zejdą się, zejść mogą.
A póki pan dla serca własnego okrutny,
To ja, choć anioł pana, będę anioł smutny,
I tęskny, i bolesny!

Henryk.

Nie: dobry, i tkliwy;
Co nad szaleńcem nawet, kiedy nieszczęśliwy,
Lituje się i czuwa myśli swojéj tchnieniem;
Będziesz nadzieją raju, i raju wspomnieniem;
I siostrą natchnień moich!

Lidia.

Pewno?

Henryk.

Zanieloną!

Lidia.

Jedyną?

Henryk.

O! jedyną! Jak bóstwo wielbioną!

Lidia.

Na zawsze?

Henryk.

Tu, na ziemi, na wieki, na wieki!

Lidia.

I nie zrzeczesz się nigdy uczuć mych opieki?

Henryk.

Wzywać cię będę zawsze, i wiecznie i wszędzie,
A wiem, że moje życie zacne, wyższe będzie.

Lidia.

Pamiętaj pan! Ja wierzę!
(z zapałem)
A teraz, mój Boże!
Już w téj chwili rozstania, widzę witań zorzę:
(podaje Henrykowi rękę)
Oto jest moja ręka. Ten uścisk ostatni,
Smutny przy pożegnaniu, choć tkliwy i bratni,
Niech mu będzie pamiątką, a mnie przekonaniem;
Że kiedyś, w obec siebie insi, czulsi staniem!
Wierzę głosowi serca!

Henryk.

Życie go zagłuszy.
Błogosławiąc ją, żegnam!

Lidia *(odchodząc)*.

Ja, z nadzieją w duszy!
(wychodzi.)

Scena 5.

Ciż sami, bez Lidii.

(Henryk patrzy za odeszłą Lidią, zamyślony głęboko.)

Prezes *(z cicha do marszałka)*.

To tego, prawdę mówiąc, co to im tam w głowie?

Dutkiewicz.

Ja nic nie zrozumiałem.

Henryk *(nagle się zbliża)*.

A teraz, panowie,
Z wami sprawa:
(Prezes i marszałek cofają się.)
(z ironią)
A! niech się panowie nie straszą;
Nie wyzwę; nie zabiję. Jeżli bronią waszą
Były wybiegi czarne, plugawe i niecne,
Kłamstwo z miedzianém czołem, oszczerstwo
(bezecne,
I jad, co wszystko zacne i szlachetne truje;
Moją bronią — pogarda; i nią was piętnuję!
(do prezesa)
Pan powinien się cieszyć, opiekun troskliwy,
Że go wybieg niewinny i fortel szczęśliwy,

Uwolnił od nieszczęścia mieć mię swoim kre-
(wnym.
Nie zagrażam tém panu, niech pan będzie pewnym.
Szukaj pan męża, według swojéj myśli jasnéj:
Bałwochwalcę obiadu, kramarza czci własnéj,
Służalca dostojeństwa, majątku, znaczenia,
Znanego w każdém błocie herbu i imienia,
Któryby światowości olbrzymim pomyksem
Zacierał brud na sobie. I takim feniksem,
Który z waszych popiołow krociami się rodzi;
Niechaj się pańska starość ożywi, odmłodzi
I tryumfuje, widząc, że świat się nie zmienia!
(do marszałka)
A pan? Pan może ziścić prezesa marzenia:
Cóż mu brak? Urząd piérwszy w powiatowym
(świecie;
Znaczenie, cenią ludzie! kucharz, wiedzą przecie!
Rozum, udać nie trudno! I maniera sama
Zastąpi go! A resztę? kup pan! wszakże mama
I papa pański, pewno uczyli go przecie:
Ażebyś wierzył w pieniądz. On wszystkiém na
(świecie.
Nie trzeba go wydawać: dość mieć go w kieszeni;
A każdy uniewinni, wyniesie, oceni.
Słuchaj pan papy, mamy! Bóg da długie lata!

Dutkiewicz *(do prezesa z cicha).*
A może ja go wyzwę?

Prezes *(ściskając ramionami).*
(z cicha)
Chyba na śmiech świata!

Henryk.
Dumni pajace życia, światowi kuglarze,
W ciele pyszni i wielcy; — a w duszy nędzarze!
Ideały trującéj tu wszystko obczyzny;
Cudzoziemcy wylęgli z tuziemnéj zgnilizny;
Z pozorem życia, ruchu, myśli działalności,
Wy, zgalwanizowane trupy od chciwości.
Nie dziw, że społeczeństwo, co was w sobie
(mieści,
Mydlaną bańką będzie i formą bez treści!
(po chwili milczenia)
Dosyć. Was nie poprawią nawet plagi Boże:
Cóż więc słowo biednego w duszach waszych
(może?
Niezachmurzoném życiem, jak ślimaki, żyjcie;
Frymarczcie i handlujcie; jédzcie, pijcie, gnijcie.
Płaszczcie się przed bogatszym a depczcie nę-
(dzarze.
Złotu wznieście świątynie, rublowi ołtarze;
Uczcie dzieci i młodszych, że tylko blask zimny
Jest wszystkiém! Reszta w życiu, tylko przesąd
(gminny.
Kupujcie, sprzedawajcie; i wznoście fabryki!
Od współczesnych wam sława, oklaski, okrzyki.
Po śmierci zaś potomność, na świetnéj mogile
Wzniesie pomnik z napisem: „Że miał chłopów
(tyle;
I że na wielkich drogach wcale nie rozbijał,
Wznosił przemysł krajowy, a handlowi sprzyjał;
Lecz nie kradł — więc cnotliwy! I to oczewista.
A jeżeli miał duszę, światłość wiekuista
Niech jéj świeci na wieki!“
(do siebie)
Precz ztąd! precz na długo!
Tu trza być dumnym panem, albo podłym sługą!
Pójdę szukać śród ludzi i czekać odżycia
Dla zranionego serca, spokoju, ukrycia.
A jeżli go na ziemi nie wynajdę sobie,
To Bóg miłosierny, i da mi go w grobie!
(Wychodzi)

Scena 6. i ostatnia.

Prezes i Dutkiewicz.

(Patrzą na siebie w milczeniu, kiwają głowami z politowaniem i zaczynają śmiać się.)

Prezes.
Co to on tutaj naplótł? To waryat, i kwita.
Gotowy pensyonaryusz do ogrodu Wita *):
„Opiekun: mama, papa, pobrukane imię;
Trup chodzący; a groził coś Jerozolimie;
Cudzoziemcy; zgnilizna!“

Dutkiewicz.
Ręczę, że nie umie
Po francuzku!

Prezes.
To tego, kto go tam zrozumie,
I kto tam sens wynajdzie w takiéj mieszaninie?
Fabryki i nagrobki; ruble i świątynie;
Chłopi i światłość wieczna? A wszystko to gnie-
(wnie.
Źle skończy, źle *to tego*! Rozpije się pewnie,
Lub w łeb sobie wypali!

Dutkiewicz.
Jednakże, prezesie,
Ja niespokojny trochę. Gdy się to rozniesie
Po świecie, ludzie zaraz....

Prezes.
Pluń pan na to wszystko!
Ja żyję z tymi ludźmi sześćdziesiąt lat blizko.
Opinia najzacniejszych przy nas zawsze stanie:
Gdy, *to tego*, dam obiad, a pan polowanie!
Lecz, à propos, obiadu. Dzisiaj będzie suty;
Może ze mną, *to tego*, pójdziesz do Koruty?
(Bierze go pod rękę i wychodzą.)

Koniec.

D. 3 grudnia 1854 r. Nieruszek na Podolu.

*) Ogród *Wita* w Kamieńcu, posiada dom obłąkanych.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*